Nr. 6. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Poznań dnia 10 Lutego 1872.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a. — Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

TREŚĆ:

Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologji przedhistorycznéj

odbyty w Bononji od 1go do 8go października 1871 r.

Sprawozdanie członka kongresu

Aleksandra hr. Przeździeckiego.

Do bardzo bolesnych strat pod sam koniec przeszłego roku, policzamy zgasłego po krótkiéj chorobie co dopiéro wspomnionego autora i sprawozdawcę. Umarł jeszcze w sile wieku, bo urodzony 1814 roku, niezmordowany i niczém niezrażony pracownik w odszukiwaniu i wykrywaniu cennych zabytków naszéj przeszłości z historycznych i przedhistorycznych czasów, czemu rzadką pracę, znamienite zdolności swoje i majątek poświęcał. Nie wymieniamy szczegółowo licznych druków jego wydawnictwa, o których się już inne pisma z należną czcią dla zasług zmarłego wyraziły. Dodamy tylko z J. I. Kraszewskim: że wydanie Kadłubka, Długosza, Aktów Theinera, Wzorów sztuki średniowiecznéj i czterech tomów Jagiellonek (piąty i ostatni tom już do druku przygotowany) do monumentalnych dzieł jego policzyć trzeba, „do których głową, ręką i groszem się przykładał“, a które „imię jego zawsze pamiętném uczynią.“

Jako delegat c. k. Tow. Naukowego Krakowskiego, reprezentował je na zjazdach międzynarodowych antropologiczno-archeologicznych, które zawiązane w La Spezzia, portowém mieście włoskiém, r. 1865 pod przewodnictwem profesora Capellini, odbywały się potém w Neuchatel w Szwajcarji (1866 r.), w Paryżu (1867 r.), w Anglji (1868 r.), w Kopenhadze (1869 r.), podejmowane przez samego króla duńskiego Chrystjana IX. i całą rodzinę królewską; nareszcie w Bononji roku zeszłego.

Na tym ostatnim kongresie liczba członków doszła do 235, między nimi sześciu Polaków: Al. hr. Przeździecki, J. I. Kraszewski, Jan Zawisza z Warszawy, hr. Albin Węsierski z Zakrzewia, Brochocki i Zienkowicz, dwóch inżynierów osiadłych we Włoszech. Z Rosji nie było nikogo. Do znakomitości kongresowych należeli pp. Quatrefages i de Mortillet z Francji, Dupont, dyrektor muzeum nauk przyrodniczych w Bruxelli, Worsaae i Japetus Steenstrup z Danji, Dr. Wirchow z Berlina, Desor i Karol Vogt z Szwajcarji, z Włochów Gozzadini prezes kongresu i Capellini sekretarz generalny, Scarabelli, który jeszcze w r. 1850 zaczął zajmować się archeologją przedhistoryczną, kanonik Spano

z Sardynji, były minister Minghetti i inni. Żaden z Niemców ani Sławian nie został obranym do komitetu, chociaż na poprzednich kongresach było obyczajem, że z każdéj narodowości wybierano po jednemu do komitetu.

O godzinie 1 z południa dnia 1go października wszedł do sali bibljotecznéj uniwersytetu prezes i członkowie bióra, wśród rozgłosu muzyki, która odegrała hymn narodów wśród których brzmiała także Marsyljanka. W języku francuzkim, przyjętym jako język urzędowy kongresu, przemówił sędziwy hr. Gozzadini. Powitał gości, wspomniał o dawnéj świetności naukowéj miasta Bononji, które i Kopernika liczyło pomiędzy uczniami akademji. Zwrócił uwagę na kościodajne jaskinie i palafity (budowle na palach) we Włoszech, na zabytki z pierwszéj epoki kamienia (archeolityczne) i na grobowiska z epoki kamienia szlifowanego (neolityczne), na odwieczne śmietniki (terramara), na bogate pokłady z epoki bronzu i żelaza. W końcu wezwał do rączéj pracy w dziedzinie nowéj nauki: „Kilku śmiałych pionierów nauki zatknęło już na pokładach trzecio-rzędnych sztandar przedpotopowego człowieka; utrzymajcie go na tém stanowisku, posuńcie starożytność człowieka o tyle setek wieków, ile jéj dotychczas przyznają. Uczyńcie tym sposobem piąty kongres przedhistoryczny pamiętnym na wszystkie czasy, a będzie on stanowił znamienitą epokę w naukowych rocznikach Bononji, która dziś, dzięki Wam, panowie, odzyskuje jak najsłuszniej dawne miano uczonéj.“

Cały ośmiodniowy przebieg kongresu nie odpowiedział nadziejom wyrzeczonym przez szanownego prezesa. Najważniejszém nieoledwie było to, co śp. Aleksander Przeździecki kongresowi przedstawiał. Odkryć nowych nie poczyniono żadnych, z którychby wnosić można o człowieku z przedpotopowych czasów. Karol Vogt mówił o ludożerstwie, w którém miała leżeć myśl wyższa, przyswojenia sobie zalet ciała zabitego nieprzyjaciela, jego odwagi, jego siły i t. p. Mówiono o nowo odkrytych jaskiniach kościodajnych w Pirynejach, o takichże między Mentone i Ventimiglia z kośćmi zwierząt: bos urus, rhinoceros, cervus elaphus, hyena. Tamże cztery ogniska piętrzące się nad sobą, przedzielone nasypem jednego do dwóch metrów, świadectwo dają o tychże generacjach ludzkich, Bóg wie ilu latami od siebie przegrodzonych. Jan Zawisza mówił o odkryciach w pięciu jaskiniach w Ojcowie, o szczękach niedźwiedzi przedpotopowych (ursi spelaei) i o śladach ogniska z narzędziami krzemiennemi i czerepami naczyń glinianych. Ś. p. A. Przeździecki dopełnił referat pana Zawiszy, mówiąc o jaskini w Potoku w przedłużeniu gór Ojcowskich, jeszcze 1852 r. odkrytéj, w któréj znaleziono kły i kości mamuta, nosorożca, konia, renifera.

Dnia 4go października w obecności królewicza Humberta i ministra oświecenia Correati, mówił prof. Wirchow o palafitach, które odkrył w okolicach Wollina. Hr. Wurmbrond z Austrji zdał sprawę o odkrytych przez siebie nawodziskach na jeziorze Altersee, niedaleko Ischl i przedstawił zebrane tam ciekawe narzędzia kamienne i kościanne, piękną obrączkę ze szlifowanego węgla kamiennego, oraz kilka szpilek bronzowych. Z kolei zabrał głos ś, p. A. Przeździecki zdając sprawę o palaficie Czeszewskim, o żalniku Dobieszewskim i o dwóch stacjach krzemiennych; jedna w okolicach Krzemieńca na Wołyniu, zkąd pochedzące dzidy i groty Duńczycy i Szwedzi uznali za najzupełniéj podobne do skandynawskich; może je tam Waregowie ze sobą przynieśli; — druga przed rokiem dopiéro odkryta pod Płockiem na dzisiejszym piasczystym brzegu Wisły, gdzie sterczą chaty wsi Ośnicy. Wiatr tam odkrywa drobne okrzesy krzemienne, w kształcie strzałek, małych dzid i nożyków, tudzież czerepy z potłuczonych naczyń glinianych, czerwonego i czarnego koloru, żelazne groty strzał i dzid, kawałki szkła, paciorki gliniane i szklane, odłamki ozdób spiżowych. Pod wzgórzami masa popielnic z przystawkami. W grobie ocembrowanym granitowemi kamieniami znaleziono 8 popielnic całych i dwie zbutwiałe. Grób był przykryty trzema kamiennemi płytami. Ślady to znacznéj osady przedhistorycznéj, o któréj wszelka tradycja zapadła i pozostały tylko grobowiska i ślady krzemiennéj stacji.

Sprawozdanie o palaficie Czeszewskim i żalniku Dobieszewskim umieścimy niżéj. Tu tylko nadmienimy, że z licznych nader i cennych przedmiotów archeologicznych, które ś p. A. Przeździecki przedstawił kongresowi, odznaczały się mianowicie następujące przedmioty:

1. Kula ze szkła zielonawego, pręgowata, całkiem zasklepiona, do połowy napełniona płynem białym, przezroczystym. Jest to zapewne łzawnica, ale w kształcie zupełnie różnym od łzawnic rzymskich. Przedmiot rzadko znajdowany w pogańskich grobach litewskich, a rzadziéj jeszcze w polskich;

2. wielki naramiennik bronzowy, złożony z 11tu coraz większych kręgów, najpiękniejszą patyną pokrytych, wykopany w Telkowicach przy Buchwałdzie (w Malborgskiém), dziś własność muzeum archeologicznego uniwersytetu krakowskiego z daru J. I. Kraszewskiego;

3. naszyjnik bronzowy z sześcią rzeźbionemi wieszadłami o trzech kondygnacjach, wykopany w Połowiu (w Dziśnieńskiém) w zbiorze ś. p. A. Przeździeckiego;

4. korona bronzowa o dwunastu promieniach, znaleziona w Zalesiu w Czortkowskiém (w Galicji) z muzeum Tow. Nauk Krak. Podobna corona radiata znajduje się w muzeum Meklemburgskiém w Ludwigslust i kilka takich koron pokazało się w Danji;

5. topór z rogu jeleniowego (cervus elaphus) znaleziony w palaficie Czeszewskim i darowany muzeum archeologicznemu w Krakowie. Jest to unikat, nader podziwiany przez członków kongresu Bonońskiego.

Z innych przemówień dnia tegoż najwięcéj zajmował wywód uczony hr. Conestabile, o pierwszych mieszkańcach Italji. Z wielkiéj emigracji aryjskiéj z Azji do Europy poczwórne nastąpiło po sobie zajęcie ziem włoskich: przez Aborygenów, Umbrów, Pelazgów i Etrusków. Ci ostatni w XV wieku przed Chrystusem byli już kwitnącém państwem, założywszy federację 12 miast w środkowéj Italji. Przebyli potem Apeniny i założyli nowy północny związek miast etruskich, ze stolicą Felsiną, dzisiejszą Bononją.

(Dokończenie nastąpi.)

SIOSTRZENICA KSIĘDZA PROBOSZCZA.

Powieść ze świeżych zdarzeń

napisana przez

Michała Bałuckiego.

(Dalszy ciąg.)

II. Przy świetle.

I. Romans bez słów.

Już zaranne światło przecierało na niebie nocne mroki, gdy stary grajek po ciemnych i wązkich schódkach wlókł się do swego mieszkania na poddasze. Doszedłszy do drzwi zatrzymał się czas jakiś by zmęczonemi piersiami zaczerpnąć oddechu i lekko przycisnął klamkę. Bał się obudzić córkę i chciał niepostrzeżenie wsunąć się do mieszkania. Ale córka już nie spała i za lekkiém skrzypnięciem drzwi podniosła się i usiadła na łóżku, przykryta do połowy kołderką.

— Czy to ty, ojcze? — spytała wchodzącego.

— Ja, ja — czemu nie śpisz Aneto?

— Nie mogłam zasnąć, byłam niespokojna, co się z tobą stało.

— Cóżby się stać miało? Teraz karnawał, — to żniwo dla muzykantów.

— Ale dla czego nie powiesz mi nigdy, gdzie grywasz. Czasem może wypaść coś pilnego n. p. wczoraj.

— Toż ci mówiłem raz, że grywam w gospodzie pod „Krukiem.“ —

— Byłam tam wczoraj, ale mi powiedziano, że cię tam nigdy nie widziano. Stary Albert mi powiedział, że grywasz gdzieś u Sperla, chciałam tam iść, ale mi odradził. Powiedział, że tam uczciwe kobiéty nie chodzą. Czy to prawda ojcze, żebyś ty tam grywał, gdzie uczciwym ludziom iść nie wypada? —

— Albert jest głupi i dziwak, sam nie wié, co plecie. Każdy idzie tam, gdzie mu lepiéj płacą. A ty nie powinnaś była biegać po mieście — rozumiesz — to nie powinno być. —

Ostatnie słowa mówił surowo i opryskliwie. —

— Listonosz szukał cię wczoraj — był tu aż trzy razy — miał do ciebie jakiś pilny list z pięcioma pieczątkami. Dla tegom poszła cię szukać. —

— List z pięcioma pieczęciami do mnie? To zapewne pomyłka, tylu jest Majerów w Wiedniu. —

Mówiąc to rozpinał drżącemi rękami surdut zabierając się do spoczynku. W twarzy jego widać było znużenie i senność. —

— Czy gospodarz nie przysyłał tu wczoraj po komorne? —

— Był tutaj.

— I cóż?

— I zapłaciłam mu. — szepnęła nieśmiało —

— A ty zkąd wzięłaś pieniędzy? — spytał, a twarz jego pargaminowa nabiegła krwią wraz z tém zapytaniem. —

— Zapracowałam je. —

— W jaki sposób? Dziewczyno, mów prawdę. —

— Szyciem, — odrzekła spokojnie, patrząc zdziwiona na niego — jakże inaczéjbym mogła.

Spokój jéj twarzy rozbroił trochę gwałtowność starca, nie usunął jednak całkiem podejrzeń.

— Ośm guldenów — rzekł — to nie mała suma. Któż ci zapłacił tyle? —

— Pracowałam przez parę tygodni w nocy.

— Nie powinnaś się tak męczyć, prosiłem cię o to — rzekł starzec już łagodniéj. —

— W samotności, w jakiéj żyję, praca była mi rozrywką. Wieczory takie długie, a ty ojcze zawsze po za domem. —

— Prawda — mruczał stary rozbierając się daléj — samotność jest niedobrą dla ciebie. Tak dłużéj zostać nie może. — Gdybym tu miał jakich dobrych znajomych, przy których byś mieszkać mogła, byłoby lepiéj dla ciebie — i dla mnie. Ale ich nie mam. Albertowa pijaczka i kłótnica nie wytrzymałabyś przy niéj, — a ta praczka z Leopoldstadtu, u któréj mieszkaliśmy, gorsza jeszcze. Słyszałem jéj rozmowę z tobą i zapłaciłem jéj za to, że mnie nie prędko zapomni.

— Nie wiem o co wam poszło, dla czegośmy się od niéj tak nagle tu przeprowadzili? Ja nic nie widziałam złego w rozmowie z tą kobiétą. —

— To moje szczęście, żeś jéj nie zrozumiała.

— Pytała mi się, czy chciałabym mieć stroje, kosztowności. Boże! którażby nie chciała. —

— Idzie o to, za jaką cenę. Ale nie mówmy o tém. Od téj praczki, jeżeli ją spotkasz, uciekaj jak najdaléj — to zła kobiéta. Wierz ojcu, on ci dobrze radzi. — Z tém wszystkiém — mruczał znowu jakby do siebie — tak dłużéj zostać nie może, ty potrzebujesz opieki — ja nie mogę być zawsze w domu i dla tego w każdéj chwili jestem niespokojny o ciebie. —

— Dla czego ojcze — cóż mi się złego stać może?

— No, nic złego, ale tak zawsze sama, to nie dobrze dla młodéj panienki. Ty potrzebujesz towarzystwa. — Trzeba mi na serjo pomyśleć o tém. —

Zdejmując kamizelkę dobył z niéj stary, zatłuszczony pugilares i oddał córce.

— Schowaj to u siebie. Jutro zapewne będziesz potrzebować do miasta. A może i sobie masz co kupić, kup, moje dziecko, za takie pieniądze możesz........

Zatrzymał się w mówieniu, przypomniał sobie, że to pieniądze, które rozpusta i bezwstyd wrzuciły do jego kieszeni — i nie kończył już zdania. Oczy jego znużone bezsennością zamykały się, stary grajek chciał jeszcze coś mówić, ale senność owładnęła go, położył się na łóżku i usnął. —

Córka na palcach usunęła się od niego. — Do snu nie miała już ochoty, więc otuliwszy się w ciepłą, wełnianą chustkę poszła ku oknu. Uchyliła firanki i zdziwiła się nie mało zobaczywszy w oknach na przeciwko palącą się jeszcze lampę, któréj czerwonawy płomień pobladł przy niebieskawém świetle poranku. — Przy lampie siedział z głową opartą na ręku mężczyzna mocno zadumany. — Był to August, który wróciwszy do domu rozmyślał jeszcze nad wypadkami ubiegłéj nocy. To wszystko, co widział i słyszał w przeciągu kilku godzin, było tak niezwyczajném dla niego, że nie mógł sobie dokładnie zdać sprawy z tego. W głowie jego był chaos myśli, a w duszy zawierucha najsprzeczniejszych uczuć. — Czuł niejakie zadowolnienie, że wpływ jego ocali jednę nieszczęśliwą, a przecież nie mógł się oprzeć przykremu uczuciu, że właśnie dla téj nieszczęśliwéj wstąpił tak głęboko w przepaście występku i moralnych brudów. Był w tym względzie podobny do człowieka, który ocalił kogoś od potwornego gadu, ale z obrzydzeniem pogląda na swe ręce, co się śliskiego gadu dotykały i powalały nieczystą śliną jego. — Dusza jego czuła na sobie ślady tego dotknięcia i cierpła na wspomnienie tego. —

Kiedy August tonął w tych myślach, córka grajka

przytuliwszy twarz do szyby okna, z ciekawością i niepokojem obserwowała go. Twarzy jego zasłoniętéj ręką widzieć nie mogła, nie była więc pewną, czy zasnął czy duma; w każdym jednak razie i sen o téj porze przy stoliku i zamyślenie takie głębokie było dla niéj zagadką, którą radaby była rozwiązać. Mężczyzna bowiem z przeciwka nie był jéj obcym, ani obojętnym. — Nie wiedziała wprawdzie kto on, zkąd, czém jest, ale od pierwszéj chwili, gdy raz podlewając kwiatki w oknie, spotkała się z jego spojrzeniem, twarz jego pełna męzkiéj energji, a zarazem ujmującéj słodyczy i łagodności, dziwne na niéj zrobiła wrażenie. Od tego czasu skromność jéj dziewicza musiała nieraz walczyć z myślami i oczami, i wstrzymywać je, aby nie zwracały się tak często do okien hotelu, w których nieznajomy większą część dnia przesiadywał, to rysując coś przy stoliku, to czytając książki. — Każdego dnia budząc się z niepokojem pytała siebie, czy go dziś zobaczy, czy nie odjechał już. — Młode dziewczę nie umiało sobie wytłomaczyć tego sympatycznego uczucia, które ją ogarniało; w naiwności sądziła, że to ciekawość tak ją pociąga, że to nowość tak ją bawi. Pierwszy raz bowiem znajdowała się w takiéj sytuacji, tak blisko młodego człowieka, i przez tak długi czas. Mieszkając dotąd po przedmieściach, wśród ubogiéj klasy, nie znała wcale mężczyzn podobnych jemu. Widywała ich na ulicach, roztargnionych, śmiejących się, rzucających na nią nieraz spojrzenia, które ją rumieniły i przestraszały; ale mężczyzna przystojny, w czterech ścianach oddany pracy i poważnym myślom, był dla niéj nowością, która ją pociągała ku sobie niezwykłym urokiem. — Do tego mężczyzna ten zdawał się niezważać na nią, a — jeżeli przypadkiem zahaczyły się ich spojrzenia o siebie, to wzrok jego natychmiast zwracał się w inną stronę lub cofał się w głąb pokoju. — Nie mogła przypuścić, że to z nieśmiałości, przypisywała to więc obojętności i obojętność ta drażniła jéj miłość własną; czuła się tém dotkniętą.

Postanowiła więc unikać podobnego spotkania. Rzadko zbliżała się do okna; kwiatki podlewała tylko wtedy, gdy się domyślała, że go nie ma w domu, a gdy podczas szycia zmuszona była siadać blisko okna, to ustawiała krzesło tak, aby mieć twarz zwróconą w głąb izdebki. — Była to niewinna zemsta, którą jednak mały przypadek wnet na inne zamienił uczucie. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PODOBNY ŚWIAT.

(Marka Wowczka „Opowieści ludowe").

Studjum literackie

Jana Grzegorzewskiego.

(Dokończenie.)

Parasi również w Semenie niejedno podobać się mogło. Wykutym on był z takiego materjału, który magnetycznym pociągiem zniewala serca niewieście w ogóle, a serca z takiém jak Parasia usposobieniem w szczególności. Słowa z ust mu płynące jak miód niebiański upaść mogły niejednę kobiétę, a cóż dopiéro dziewczynę, która po za własną wesołością, szczególnie może dla tego, że była jéj własną, w zadumanych smętkiem licach jego znajdowała nowy czar dla upojonego serca swego.

Zakochać się więc oboje mogli.

„Cóż ja tu biedna pocznę? Rozłączyć ich nie miałam serca — pobłogosławiłam.

....

I sama się radowałam, patrząc na ich życie miłe a lube. Przyjdę do nich w gościnę bywało — siedzą we dwojgu. Cóż to za szczęśliwi! cóż to za śliczni! Jakem się przypatrzyła do niego, przylgnęła jakoś bliżéj, matusiu moja, — to i rodzonego dziecka nietrza mi było. Takie u niego wejrzenie było, taka mowa, taka uroda, że swoje ci nie inném będzie, taj tylko!

Przybieży bywało Parasia do mnie na chwileczkę...

Panie mój, jaka wesoła, jaka szczęśliwa!

„A co, Parasiu?"

— „Dobrze mnie, ciociu — serdeńko, dobrze mnie! Kocha on mię bardzo. Na krok od siebie nie puszcza; wciąż śpiewać prosi. „Siadaj tu przy mnie, śpiewaj mnie, ptaszko, śpiewaj!" To i siadam, a on słucha i patrzy mnie w oczy... Cóż to za oczy Pan Bóg mu dał!"

„A z gospodarstwem jak?" pytam.

— „I gospodarstwo lepiéj teraz idzie. Dobrze, wszystko dobrze. Ja wciąż tak się krzątam, tak dogadzam jemu!... A on, ciociu, on wciąż niedaje mi robić, — da li Bóg!... Poram się tam przy piecu, albo co, a on: „Czemu tak długo, Parasiu?" — „Ależ ja dla ciebie, sokole, żebyś ty smaczniéj mógł zjeść." — „Ba — i — bardzo", powiada, „mnie na tém, serdeńko! Ot idź usiądź przy mnie, a obejmij, i będziem rozmawiali, jak żyć na świecie, jak ludzie żyją na świecie." I jak pocznie on, ciociu, rozmawiać, to ja zapominam o wszystkiém, co się tam robić zaczęło i co do czego. Opomnę się, to aż wstyd, jaka gospodyni ze mnie... Teraz już rozumniejszą się stałam, poram się, myję, szyję... A on, patrzę, i posmutnieje, i zachmurzy się, markotno mu czegoś, nic nie je, nie pije. A ja proszę, a ja proszę: „To choć pokosztuj, choć ustami się dotrąć! ono dobre, nie byle jakie." —

— „Gdzież nie dobre, kiedy ty rączek swoich przyłożyła, a i dumek jeszcze!" niby się śmiejąc ze mnie, powiada. A ja go całować, — wtedy on znowu wesoły."

O, tu właśnie okazuje się cała bezzasadność owego pewnika pseudo-fizjologicznego: ludzie różnych temperamentów kojarząc się dopełniają siebie wzajemnie. Jeśli weźmiemy pojęcie temperamentu w znaczeniu bardziéj rozleglejszém i rozumieć pod tym wyrazem będziemy nietylko skłonność wrodzoną, naturalną, lecz zarazem tę potrzebę duszy ludzkiéj jaką jednostka w ciągu życia samodzielnego indywidualnie w sobie rozwija, a która się staje nierozdzielną i koniecznie-składową częścią organizmu jéj duchowego — to z powyższego pewnika wypadałoby, że ślepy uzupełnia głuchego, a nieuk rozumnego. Témcibardziéj do wniosku podobnego uprawnieni jesteśmy, że te samodzielnie rozwijające się własności w człowieku normalniéj i chyżéj rozwijać się mogą tylko na podstawie odpowiednich im naturalnych własności i bardziéj krańcowym będzie melancholik i marzyciel z temperamentem flegmatycznym niż z sangwinicznym. Bezwarunkowo nie twierdzilibyśmy i nie przesądzali kwestji, nierozjaśnionéj jeszcze nauką, lecz przypuścićby można było, że nawet jedne temperamenta bardziéj są skłonne do wykształcenia umysłowego, niż drugie, albo lepiéj — i to będzie pewniejsza — że łatwość przyjęcia pewnéj metody naukowéj zależną jest od jakości temperamentu. Jedni są skłonniejsi do metody naukowéj induktywnéj, drudzy — deduktywnéj. Bądź jak bądź, jeśli tak zwana ścisła umiejętność nie dała

nam ostatecznéj pod tym względem odpowiedzi, to na polu spekulatywném dość udatne i pomyślne już próby czyniono, a między innymi i p. Kaszewski jednę z takich prób niepośledniéj wartości dokonał. A chociaż p. Kaszewski nie należy do rzędu krytyków społecznych, a w ogóle lubując się w kwestjach estetyczno-formalnych, przeważnie im siły swoje poświęca, to jednak dokonaniem téj jednéj próby, takiéj bystrości i wytrawności sądu złożył dowody, że go, po Mochnackim, uznać byśmy mogli za krytyka beletrystycznego pierwszéj ręki.

Próba ta mniéj więcéj przeprowadzoną była w tym guście — że oto ładniutka i zgrabniutka Muszka zakochała się w pewnym poczciwym a ociężałym adwokacie; ten znowu poczciwy a ociężały adwokat zakochał się w ładniutkiéj i zgrabniutkiéj Muszce. On w niéj upodobał (znowuż uczynimy uwagę — okrom zewnętrznéj fizjognomji, która mogła być sympatyczną, ładną, piękną dla każdego z obojga) wesołość i dowcip umysłu; ona w nim — już nie wiemy co — chyba same lica, a może — dziwne są przecież gusta — powolność i zadumę, a zresztą i moralną jaką zaletę n. p. sumienność, poczciwość lub nakoniec wyższość umysłową. Dość że stadło to skojarzyło się i zdawało być szczęśliwém. Lecz p. Kaszewski nie ogranicza się tém pozorném a zwykłém zapewnieniem powieściopisarzy, którzy lubią doprowadzać powieść do kobierca ślubnego a potem urywać, powiadając:

Wszystko poszło pomyślnie i szczęśliwie; smutne koleje panieństwa zakończyły się szumiącym kielichem szampana; sam byłem, miód piłem i t. d.

Lecz wprowadzając nowożeńców w coraz to nowe a rozmaitsze sytuacje życia — wykazuje, że stadło takie właśnie nie mogło być nigdy szczęśliwém. Kiedy bowiem jedno rzucało się po za obręby życia rodzinnego, znajdując atmosferę domową zbyt duszną, zbyt ciasną dla swojéj natury — drugie w czterech ścianach pokoju znajdowało więcéj szczęścia i swobody, niż wśród największego blasku obszernych salonów publicznych. Kiedy Muszce chciało się n. p. w pięknie wystrojonéj sukni balowéj przetańczyć modnego kadryla w towarzystwie wesołych i dowcipnych młodzieńców, a ożywić serce lekką a wesołą rozmową — adwokat wolał przy ognisku domowém małe lecz dobrane kółko przyjaciół, którego jeśli mu brakowało, a całodzienna praca nużyła siły umysłowe, znajdował roskosz niewymowną w ciepłym szlafroku, z cybuchem w ustach marząc o ideałach Pandektów. Muszka namiętnie lubiała muzykę, a pod świeżem jéj wrażeniem zdolną była do najpiękniejszych i najszlachetniejszych czynów, lecz czyny to były doraźne, urywcze, bez ciągłości i podstawy. Adwokat może także nie był nieczułym na dźwięk i harmonję tonów, lecz tęsknił do muzyki adwokackiéj, z którą mu się po całych dniach słyszeć dawali ubodzy a nieszczęśliwi klienci jego i był najszczęśliwszym, kiedy dla takiego klienta udało mu się z wielkimi kłopotami proces wygrać. Słowem różnica usposobień zachodziła tak daleko, że kiedy konna przejażdżka stanowiła dla niéj największą przyjemność, dla niego była wstrętną prawie — piechotę lub fiakier przekładał nad wszelkie hetmańskie bachmety.

I to miało być dla nich owém znakomitém dopełnieniem dwu różnych usposobień! Rozmaitość taka mogła mieć pewien nawet urok dla stron obu, ale kiedyż? Wówczas jak się patrzyło na nią z daleka i doraźnie, a nie było się zmuszonym poświęcać ciągle i zawsze własnéj natury obcym jéj zupełnie potrzebom. Z jakimże zachwytem, będąc jeszcze kawalerem, pod wrażeniem pierwszéj ślepéj miłości patrzył pan adwokat na lekką i eteryczną postać Muszki, kiedy widział ją unoszącą się w łódce po szklistych szybach jeziora wiejskiego. Ten wdzięk jéj ruchów, ta postać idealnie powiewna, w otoczeniu bogatéj a cudnéj natury takie na nim wrażenie sprawiły, że byłby oddał połowę życia swojego, gdyby mógł choć na jednę chwilkę przebyć u stóp téj świtezianki, cóż dopiéro przemarzyć z nią życie całe, patrząc w jéj oczy czarowne i płynąc z nią razem wieki całe! Lecz niechby się ziściła choć setna część jego życzeń ówczesnych, i gdyby już nie wieki całe, a przynajmniéj trzy godziny codziennie przez ciąg sześciu miesięcy wypadło mu tak się unosić po szybach jeziora właśnie wówczas, kiedyby to z jednéj strony było najgorętszém jéj życzeniem, — a z drugiéj, dajmy na to, że były to chwile jego najulubieńszych posiedzeń adwokackich — o, to w szóstym miesiącu nadeszłaby godzina, w któréj pan adwokat z pewnością po raz wtóry oddałby połowę życia swego, gdyby mógł minutę wcześniéj uciec do swego ciepłego pokoju!

Toż samo i z naszymi nowożeńcami. Nie do pary, z tą wszakże różnicą, że tam mogła być świadomość wzajemnéj sytuacji, a więc i możność jéj zmiany, tu zupełnie na niéj zbywało, a ztąd i życie więcéj musiało nastręczać nieszczęścia, bo więcéj nieporadności. Pomimo różnicy usposobień, pomimo że Muszka nierozumiała męża, a on jéj, pomimo iż każdy z nich, ze swego stanowiska, z trudnością przypuszczał, jak może człowiek nie z jego własném usposobieniem być szczęśliwym, a nawet z niém istnieć — to jednak na tyle mieli przeświadczenia, że z faktem dokonanym liczyć się mogli, i zastanawiać się musieli, co z tym fantem, jakim była różnica usposobień, uczynić. A tu bezświadomość zupełna przyczyn: „rozumniejszą się, powiada Parasia, stałam.“ Co za naiwność! Czém właśnie więcéj po swojemu rozumniejszą się stawała, tém coraz bardziéj zrywała węzły ich oboje łączące i oddalała się od wzajemnego punktu styczności; musiało wreszcie dojść do tego, że oboje, pomimo wiedzy, ocknęli się na dwóch przeciwległych sobie biegunach.

Pyta ją ciotka, rozważając zmianę zaszłą w usposobieniu Semena:

„Może się za co pogniewal na ciebie!“

— „Za co? Chyba ja go nie słucham? Oto bywalo w lecie, jak siedzimy w sadku, on mnie pokazuje: „Patrzaj, jaka woda czysta! jak trzcina szeleści, — słuchaj!...“ To ja z początku bywało nie patrzę, nie slucham — nie chcę. „Lepiéj niech ja ciebie pocałuję!“ bywało powiadam mu: „co mi się tam patrzeć! ..“

Klasyczna odpowiedź: lepiéj niech ja ciebie pocałuję! odpowiedź, w któréj niejedna osobistość z bardzo rozpowszechnionych typów naszych towarzyskich przejrzećby się mogła jak w zwierciedle własném. Proszę sobie wyobrazić człowieka w najwyższym stopniu rozmarzonego własnymi ideałami, a szukającego z najżywszą, niczém niepohamowaną skwapliwością wcielenia ich w kształtach widomych — i wreszcie znajdującego jakie takie tychże odbicie w ogólnéj harmonji otaczającéj go przyrody, człowieka, w zachwycie prawie niebiańskim upojonego tém odkryciem: że się nakoniec odnalazło, co się tak długo szukało, i chcącego podzielić się tém odkryciem z drogą sobie osobą w nadziei że się w niéj znajdzie oczekiwane współczucie — i człowieka takiego raptownie przywołują do nagiéj rzeczywistości, wylewając na głowę jego dzban wody zimnéj — ofiarują mu pocałunek, lecz pocałunek nie współczucia, a ciemnoty: „co mi się tam patrzeć!...“

„Lepiéj niech ja ciebie pocałuję!“ to zabawne. Pomimowoli przychodzi na myśl ów Amerykanin, który przyjechawszy z za Atlantyku do Paryża i będąc tam na operze — podczas najcudniéj wygłaszanéj arji pierwszego soprano z Rigoletto, rozmyślał nad losem zostawionych przez siebie w karmniku sąsiada bezrogich. Dziwne, prawda, usposobienie? Jednocześnie zachwycać się arją z Rigoletto i myśleć o bezrogich!... A te dwa

tak różnéj natury usposobienia, które tą razą zwarły się w jednéj osobie Yankesa dolarowego, panowały i w duszy obu naszych bohaterów wówczas, kiedy dla ich szczęścia powinny były stanowić jedno tylko w ogólnéj harmonji. Smutne wszakże jowializm ten myśli nasuwa. Wszak niechby się takiéj żonie jak Parasia, a takiemu mężowi jak Semen odpowiednia znalazła para — ileżby tam szczęścia posiąść oni mogli we dwojgu! Życie ich by się wiło w zobopólnéj harmonji jasne i niczém nie zamącone; nie cofałoby się i niezatrzymywało biegu swego, a wolném i otwartém korytem wesołoby naprzód płynęło......

....

Przepraszam, przerwie mi niejeden z czytelników: pańscy bohaterowie i bez tego mogliby być szczęśliwymi w pożyciu z sobą, bo od czegóż wzajemne ustępstwa? Wszak jeśli się prawdziwie kocha osobę, z którą się żyć wiecznie poślubilo, to się niejednę ważną nawet skłonność poświęca dla szczęścia wspólnego, a nie dopiéro takie drobnostki, jakie Pan przytoczyłeś w imieniu swojém i Kaszewskiego.

Najpierw, łaskawy czytelniku, z takich drobnostek całe się życie człowieka składa; wyjąłem z nich niektóre tylko, resztę — może ważniejsze nawet — zostawiłem domyślności twojéj.

Powtóre — ustępstwa nawet i naši bohaterowie czynili sobie wzajemnie, Semen Parasi:

„Gdzież nie dobre, kiedy ty rączek swoich przyłożyła, a i dumek jeszcze!“ niby się śmiejąc ze mnie, powiada. A ja go całować, — wtedy on znowu wesoły.“

A Parasia Semenowi:

„To ja z początku bywało nie patrzę, nie słucham — nie chcę. „Lepiéj niech ja ciebie pocałuję!“ bywało powiadam mu: „co mi się tam patrzeć!...“ Widzę, że on brwi ściąga, to ja już potem i przysłuchiwałam się i przyglądałam się; jak gdybym w życiu tego nigdy nie widziała, — aby jemu dogodzić.“

Ale przez to jeszcze wrodzonych usposobień swoich zmienić nie mogli. Zresztą czyż Semenowi było miléj i przyjemniéj, choć widział nawet Parasię swoją patrzącą na przedmiot jego zachwycenia, a wiedział, że ona się zachwycić nim nie może, współczuć jego ideałom nie potrafi? Chybaż komu może być ciepło dla tego, że widzi innego w kożuchu?

Po trzecie -- drobne ustępstwa istotnie się czynią w życiu wzajemnie między osobami drogiemi i ustępstwa te mogą w razie danym spoić jeszcze więcéj szczęście ich wspólne — ale tylko wówczas, kiedy te ustępstwa istotnie są ustępstwami drobnemi, albo będąc nawet większéj wagi rzeczywiście się przyczyniają do utrwalenia szczęścia; albo nareszcie czyniąc takowe, ma się na widoku przyszłość osób trzecich, których szczęście wyżéj cenimy nad swoje własne, a postępowaniem takiém utrwalamy je i utrwalamy niefikcyjnie a istotnie. Lecz ustępstwa tego rodzaju, t. j. ustępstwa wkraczające już w zakres saméj natury, a nie jéj naleciałości, dokonywać się mogą tylko przełomem — co się nie każdemu uda, a jeśli się komu i uda to się mu nie obejdzie bez wstrząśnień gwałtownych całego organizmu fizycznego i moralnego; natura mści się za pogwałcenie praw swoich. Na każdy przełom, na każdą taką metamorfozę fundamentalnych podstaw życia potrzeba nowych sił, nowego czasu — a gdzie je wziąć i czy pora po temu? Młody szczep, wolny i zasadzony w roztworzystém na wsze strony polu łatwo naginać, gdzie się podoba, lecz wśród gęstych zarośli trudno i bardzo trudno... I kiedyż? Wówczas gdy już dawny zasób sił zużytkowywać i takowe coraz bardziéj rozwijać należy, a nie obalać dawne, wytwarzać nowe i takowe dopiéro rozwijać.

(Koniec części pierwszéj.)

DWIE KOCHANKI.

Mówiłaś mi — że czoła mego chmury, —
Niepokój duszy i oczu moich łzy,
Znikną jak cień, któremu słońce z góry
Promienną twarz — wychyli z nocnéj mgły. —

Mówiłaś mi — że uczuć twych potęga
Zatrzyma czas, zmieni przeznaczeń los,
Że serce twe sięgnie — gdzie wzrok nie sięga
I że miłością natchniony jest twój głos.

Mówiłaś mi, że niepojęta siła —
Miłością serc, gdy dwoje złączy raz, —
Rozdzielić dusz nie zdoła i mogiła
Cierpienia trud, — ani rozłąki czas. —

Mówiłaś mi — jam słuchał, jam uwierzył,
O końcu łez, o raju ziemskim śnił
I rozkosz czuł — wtém piorun z chmur uderzył,
Zamienił w proch i gruzem wszystko skrył. —

Jam z gruzów tych, choć życie wyniósł cało,
Lecz szczęścia blask nie świeci dla mnie już,
Dusza została tam i serce, co kochało —
Ziemski mój raj i biały Anioł stróż!

Nieznaną drogą, przez cudze idę światy,
A gdzieżeś ty? gdzież twoich przysiąg ślad?
Zniknął jak cień, jak mgły porannéj szaty,
Bo miłość twa, — był to p a p r o c i k w i a t!

Przeklinać cię dziś nie chcę i nie mogę,
Bom inną już ukochał z całych sił —
Szczęśliwa płyń przez życia trudną drogę, —
Nawet zapomnij, żem z tobą razem śnił.

Dla innéj dziś już serce moje bije, —
Dla niéj ma pierś, ostatnia kropla krwi,
I myśli me, bo dłoń jéj gdy ożyje,
Miljony wskrzesi, miljonom otrze łzy.

Kochanki téj — ręce dziś skute stalą,
Pałacem jéj, wielki jak Polska grób:
Nad trumną w chór wichry się stepów żalą
I niosą w dal trzech Ludów wielki ślub.

Królewskie czoło — chmur jéj otacza wianek, —
Fala dwóch mórz czołga się u jéj stóp,
I krocie niw złoci pierś, gdy poranek
Słoneczną twarz wychyli nad jéj grób. —

Na prawo Dniepr na czatach leży stary
I mruczy wciąż — o dawnéj sławie wieść;
Na lewo Odra, drze się pomiędzy jary
I nurtem swym, głosi Chrobremu cześć. —

Sto wielkich miast, sto grodów się rozsiadło —
Na piersiach jéj, — bo pierś ta jako stal
I mogił rząd — świeci się jak widziadło,
Co wznosi dłoń z przeszłości wielkich fal.

A mowa jéj, potężna jak żywioły,
Które Wszechmocny w naturę wielką wlał,
Raz szumem puszcz serce mi rwie na poły!
To znów piorunem woła z Łomnicy skał!

Jam nie umarła — mówi mi moja święta,
Choć przy méj trumnie grabarzów stoi moc —
Ale niech w pióra porosną me orlęta
A blask ich spojrzeń oświeci grobów noc.

Ich skrzydeł szum, uzbroi pierś odwagą —
Pierś miljonową — ludu, co pragnie żyć,
Bo jego dłoń, gdy kosę chwyci nagą,
Wróg, jako liść przed burzą — musi drżyć!

Tyś lutnię wziął, synu! więc bądź śpiewakiem,
I pieśni zdrowe, jak woda krynic léj;
Do pracy burz i z'arna myśli siéj
I cierpliwości — wytrwania wojuj znakiem.

Dla niéj to dziś już serce moje bije,
Dla niéj ma pieśń, ostatnia kropla krwi —
I życie me, bo pierś jéj gdy ożyje,
Miljony wskrzesi — miljonom otrze łzy.

Twa piękność ziemska, przed jéj pięknością — blada,
Wierności jéj, nie może zrównać nic —
Jéj zaklęć czar, szumi jak gór kaskada
A nieśmiertelność świeci z wyb'adłych lic.

Kraków 8 stycznia 1872.

Karol Świdziński.

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

(Ciąg dalszy.)

— Co papa każe? — rzekł wchodząc do pokoju.

— Chcieliśmy, oboje z matką, pomówić z tobą o rzeczy ważnéj.

— Ale cóżeś tak zmęczony, moje dziecko, — dodała pani Wojciechowa patrząc niespokojnie na zaczerwienioną twarz syna, na którą w téj chwili padło światło lampy.

Feluś zarumienił się jeszcze mocniéj, ale ponieważ cała jego limfatyczność niewyłączała umiejętności kłamstwa — nachylił się do ręki matki i rzekł:

— Byłem w oborze...

— I po co to tak się narażać, od czegóż rządca?

— Chciałem zobaczyć jak się ma wół graniasty, co się wczoraj skaleczył... — kłamał najspokojnéj Feluś...

— No dobrze, dobrze moje dziecko, — dodała matka całując w głowę faworyta, i rzucając na męża spojrzenie, które chciało mówić: „patrz! i ty go posądzasz!...

— A teraz do rzeczy, — rzekł p. Wojciech, gdy Feluś wywinąwszy się siadł na fotelu, wiesz Lutku chcielibyśmy cię ożenić...

— Mnie? aaa!... — W tém *aaa!*... jednak prócz zdziwienia trochę, nie było nic innego. Feluś patrzył na rodziców i czekał dalszego ciągu...

— Tak, ciebie, — mówił ojciec, patrząc się uważnie na syna, — skończyłeś edukację, a choć masz dopiéro lat 23, wierz mi, że rannego wstania i wczesnego ożenienia nikt nie żałował, czego najlepszy przykład masz na mnie... — i to mówiąc pan Wojciech spojrzał się czule na żonę, która przez wzgląd na obecność syna, mimo wrzącéj jeszcze w głębi burzy, odpowiedziała równie czułym uśmiechem...

— Ja też nic przeciwko temu nie mam... — odrzekł przerywając Feluś, — i jeżeli tylko rodzice sobie życzą...

— To tak łatwe przyzwolenie zdziwiło nieco nawet pana Wojciecha, spojrzał więc znów na syna uważnie i rzekł:

— Ja wiem moje dziecko, żeś ty zawsze gotów naszą wolę wypełnić; ale widzisz, my ci żony narzucać nie chcemy...

— Broń Boże, — dodała matka, — w niczém twéj woli krępować...

— Ale, — wtrącił ojciec, — teraz o partje dobre nie łatwo, a ja chciałbym, żebyś na swoje wszedł od razu już kompletnie urządzony... Upatrzyliśmy tu dla ciebie w sąsiedztwie żonkę aż miło. . Dobra, co się zowie, bez długu prawie, 200 włók przeszło... młyn...

Już na wzmiankę o swojém, na niewymownéj twarzy Felusia błysło zadowolenie, gdy zaś ojciec zaczął wymieniać przymioty dóbr przyszłéj żony, przed okiem agronoma stanął cały obraz gospodarstwa, pola, łąki, lasy i pastwiska, i zapomniawszy o żonie przerwał ojcu:

— A jaka klasa ziemi?...

— W połowie pszenna, w połowie żytnia dobra — odrzekł ojciec coraz więcéj zdziwiony...

— A płodozmian jest?

— Nie ma, ale...

— To dobrze, tu nie mają pojęcia o płodozmianach...

— Ależ... — zaprotestował ojciec — nic się nie pytasz o pannę...

— W tych warunkach z przyjemnością się ożenię...

— Pocóż on się ma pytać, — przerwała pani Wojciechowa chcąc usprawiedliwić syna, którego oryginalność odpowiedzi, nawet rodziców zdziwiła, — wié przecież, żeśmy mu koczkodona żadnego nie wybrali.

— Tak... ale przecież... — zauważył ojciec... — No... lecz mniejsza... kiedy ci się majątek podobał, to panna spodoba się jeszcze więcéj... Polcię Pęczkowską, znasz, co?...

— Nie przypominam sobie... — odrzekł syn, cały jeszcze w swój obraz agronomiczny zapatrzony.

— Jak to? ta mała brunetka, pamiętasz, u Żywickich na balu trzy lata temu, jeszcze w krótkiéj sukience... — objaśniała matka.

— Ah! ta czarna?... — bąknął Feluś obojętnie, — pamiętam.

— A! ba! czarna, — poderwał pan Wojciech — czarna!... dziś powiadam ci krew z mlekiem dziewczyna... oko jak węgiel, nózia tycia... rączka jak...

Ale wstrzymał się pan Wojciech, bo jednocześnie padło nań surowe spojrzenie żony, a przed domem zaturkotała bryczka.

— Ki djabeł o tym czasie przybywać może. — rzekł wstając i zaglądając w ciemne szyby okna... bryczka jakaś...

— Ah, mój Boże, — zawołała pani Wojciechowa, porywając się z kanapy, a ja jak kucharka wyglądam... i już nie czekając odpowiedzi wybiegła do swoich pokoi.

— Wyjrzyj jeno Felutku, — rzekł pan Wojciech

zwracając się do syna, — kto to tam przyjechał... Może Grünberg wraca z jarmarku, w takim razie poproś go.

Ale zanim Felutek zdążył krok jeden zrobić, drzwi się otworzyły i na ciemném tle drugiego pokoju, zarysowała się twarz nowoprzybyłego.

II.

Był to człowiek młody, lat może trzydziestu najwyżéj, szczupły, wzrostu więcéj jak miernego. Twarz ściągłą i bladą, ale o rysach wyrazistych, ocieniał włos krótko ostrzyżony, i ze szwedzka przycięta broda.

Małe, czarne, pełne bystrości oczy świeciły pod silnie zarysowanemi brwiami, a na bladych dosyć ustach igrał często uśmiech poczciwy, czasem w ironję przechodzący. W ogóle twarz była więcéj piękna jak regularna, więcéj poważna jak ujmująca.

Gość wszedłszy do kancelarji ukłonił się i czekał, a pan Wojciech i Felutek odkłoniwszy się patrzyli na niego ciekawie...

Przybyły był im nieznany...

— Wszak z panem Adamskim mam zaszczyt mówić, — rzekł nareszcie nieznajomy, raz się jeszcze z lekka kłaniając...

— Ja nim jestem, — odpowiedział nieco chłodno pan Wojciech... — a z kimże?...

— Potrzebuję z samym panem Dobrodziejem pomówić... — uprzedził pytanie nieznajomy, rzucając znaczące spojrzenie na Feliksa...

Pana Wojciecha czoło się zachmurzyło, dolna warga wysunęła się naprzód, chciał coś powiedzieć, nawet usta otworzył, ale potem inna myśl widać błysnęła przez głowę, bo dał okiem znać Feliksowi, żeby odszedł. Ten bardzo obojętnie na całą tę scenę patrzący, zrozumiał spojrzenie ojca, i już brał za klamkę, gdy wtém panu Wojciechowi znów inny zamiar przyszedł do głowy, bo zawołał:

— Zostań Feliksie! — a zwracając się do gościa, który tymczasem przysunął się do biórka i oparty oń ręką, czekał wyjścia Feliksa dodał:

— To syn mój, możesz pan przy nim mówić. — A w duchu szlachcic pomyślał: — Emigrant pewno jaki, daje drapaka za granicę i chce co na drogę wyłudzić...

I z tą miną protekcjonalnie-niechętną, którą już od lat kilku studjował pan Wojciech na panu hrabim Auguście, — rzekł wskazując fotel:

— Słucham pana.

A nie czekając aż gość usiądzie, rzucił się sam na kanapę i zaczął w kieszeni od kamizelki szukać piórka od zębów. Feluś tymczasem, któremu w mózgu majaczyły wszystkie płodozmiany, jakie na Staréj wsi zastosowywać będzie można, usiadł sobie na owéj sofce kilimkiem obitéj pod drugą ścianą.

Nieznajomy widział doskonale każdy ruch i każdą zmianę w twarzy p. Wojciecha; na ustach jego zaigrał ów uśmiech łagodnie szyderczy, i siadając na wskazanym sobie fotelu, zaczął:

— Bardzo mi przyjemnie, że zamiast jednego, poznam dwóch panów Adamskich... — Co do mnie jestem Henryk Rolski, ajent Komitetu centralnego.

Gdy wyrazy te wypowiedziane głosem zwyczajnym i naturalnym z ust nieznajomego wychodziły, twarz gospodarza przybrała raptem wyraz prawie komicznego przestrachu; dwa palce lewéj ręki zostały jakby sparaliżowane w lewéj kieszonce kamizelki, a nawet Felusia oko nieco żywiéj błysnęło, i na twarz jego wypłynął wyraz zaciekawienia.

Było to we wrześniu 1862 roku w chwili zaciętéj walki, jaka się toczyła między tak zwanymi białymi i czerwonymi. Komitet centralny istniał już i był głośny od dawna, a ajenci jego przebiegali wszystkie prowincje Polski.

Pan Wojciech, który naprawdę niezupełnie jasno pojmował o co idzie w téj walce, z natury jednak rzeczy był najskrajniejszym legalistą, a w głębi ducha nawet Wielopolczykiem. Nie objawiał się jednak z tém zbyt głośno, i mało się mięszał do dysput politycznych, klnąc w duchu cały ów ruch tamtoczesny, który go nieraz niepokoił i męczył.

Mimo to jednak wiedziano, a przynajmniéj podejrzywano go o białość, i dla tego zapewne żaden z ajentów tajemnéj władzy nie zawitał w jego progi, żaden go nie zaczepił. Pan Wojciech zaczął już nawet być z tego dumnym potrochu, i mówił sobie w duchu: „At! — nie taki djabeł straszny jak go malują... — byle mieć opinję!...“ — Łatwo więc sobie wyobrazić zdziwienie i przestrach naszego szlachcica, gdy ujrzał przed sobą żywego z kośćmi i ciałem djabła, i to takiego jak Rolski, o którym słyszał nieraz.

To też biedak skamieniał prawie, i zaledwie po chwili pod świdrującym i sarkastycznym wzrokiem Rolskiego zaczął bełkotać:

— Rolski... ajent... co?... jak?...

Rolski milcząc sięgnął do kieszeni i podał mu maleńki zwitek niebieskiego, mocno już zbrukanego papieru. Pan Wojciech odebrał go machinalnie, rozwinął również machinalnie i niby przeczytał, choć rzeczywiście ani literki nie dostrzegł. Umysł jego był zajęty czém inném.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Józef Bogdan Dziekoński.

Przyczynek do życiorysu

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Z Moich Wspomnień).

(Dokończenie.)

Odpowiedziałam mu zaraz po odebraniu listu. Aleź to było dopiéro w cztery miesiące po napisaniu tegoż — z wielkim żalem moim, że tak długo na odpowiedź czekał. — Doniosłam mu obszernie o rodzicach jego — bom ich odwiedziła, będąc w Warszawie; o bracie i bratankach. I napisałam mu o wszystkiém cokolwiek bliżéj interesować go mogło. — Na to odebrałam list po tygodniu — ale nie jego ręką pisany:

Paryż 27 czerwca 1855 r.

„List dobréj Pani zastał mnie już w tak złym stanie zdrowia, że sam pisać nie mogę. A że zamiast polepszenia, ciągle się pogarsza, uproszoną, pożyczoną ręką choć najgłówniejsze rzeczy doniosę. — Najprzód z całego serca dziękuję za wiadomość o familji mojéj — o któréj od dwóch lat nic nie wiedziałem.

Słabość moja teraz jest to gatunek konsumpcji

z niewygód i zwykłych nieprzyjemności życia pochodząca. Szpital, do którego się udam, nie jest wcale tak jak inne szpitale. Sufity na siedm metrów wysokie, łóżko od łóżka o trzy metry oddalone. Położony na górze. Lekarze najlepsi w Paryżu. — Słabość moja potrzebować będzie może długiego i skrupulatnego traktowania, jakiegobym w domu w żaden sposób mieć nie mógł. Mam więc nadzieję, że tu rozstrzygnie się ze mną pytanie — o byt lub zmarnowanie się. — Wybacz Pani, że tyle piszę o sobie, lecz jeżeli Pan Bóg powoła mnie do siebie, będziesz Pani mogła zaręczyć, że od dawna byłem zdecydowany i spokojny. — Naturalnie, że w takiém usposobieniu nie wiele się tam myśli o literaturze. — W tych dniach dał mi Lenartowicz Dęboroga (Syrokomli) i leciutką rekomendację doskonałości owego dzieła — a jak się Pani przekonasz, jest to blade naśladowanie Mohorta Wincentego Pola. — Szkoda, że Syrokomla zaczyna naśladować innych, i już podobno całkiem przestał być sobą. A jakież to były wyborne jego utwory, kiedy pisał sam z siebie! — Dziś po większéj części wszyscy w pierwszéj rzeczy mają talent — daléj talencik — który przy dwóch, trzech występach zaciera się zupełnie.

Miałem bardzo wiele i długich listów pisać do Pani, ale najlżejsza praca umysłowa stała mi się tak ciężką, że na teraz poprzestaję na zawiadomieniu Pani — że jestem na rozdrożu. Będzie bardzo szczęśliwa chwila, jeżeli sam własnoręcznie pisać do Niéj będę mógł.

Dobra Pani, Rodzicom moim nie udzielisz téj smutnéj wiadomości — chyba wtedy, jak już i pogrzeb dokonany będzie. — Za dni czternaście napiszę Pani kilka wyrazów — czy dalsza droga moja idzie na prawo czy na lewo. Za samą wiadomość o zdrowiu i rzeźwości drogich Rodziców, brata i chłopców jego nie potrafię dosyć wyrazić méj wdzięczności. — Co to jest, aby poczuć — trzeba być emigrantem przez kilka lat przynajmniéj! —

Bóg z Panią i z nami!

Józef Bogdan Dziekoński.

(Podpis własną, drżącą ręką położył.)

W czternaście dni potém odbieram list z Paryża, podpisany tąż samą obcą ręką, co poprzedni. Otwieram... i otóż co zawierał:

„Paryż 14 lipca 1855.

Aux Battignolles Rue Lemercier 28.

„Wypełniając wolę mego przyjaciela, Bogdana Dziekońskiego, miałem zaszczyt pisać do Pani, powtarzając jego własne wyrazy, które on podpisem swym stwierdził. Dziś, niestety, czuję się w obowiązku smutną Pani przesłać wiadomość... Przyjaciel Pani i mój pożegnał nas 10 b. m. o godzinie 8éj wieczorem, w szpitalu w Benujon, gdzie na jego żądanie, na dwa dni przed śmiercią przewieziony został. Spodziewał się mieć tam lepszych doktorów i większe staranie — jakiego mu sam jeden, mimo najszczerszéj chęci, dać nie mogłem. — Choroba jego była piersiową..... i tylko cud byłby go mógł ocalić.

Nie będę się rozwodził nad stratą, jakąśmy ponieśli — jaką kraj poniósł — bo Pani samo to lepiéj odemnie uznać potrafisz. Żal po nim jest między nami ogólny i szczery — że człowiek, który Polskę tak gorąco kochał i tak wielkiemi obdarzony był zdolnościami nie mógł być zachowanym dla niéj. — Najlepszym dowodem tego powszechnego uznania był obchód pogrzebowy ś. p. Bogdana, na który współbracia nader zebrali się licznie. Pomiędzy nimi byli także: jenerał Dembiński i pułkownik Różycki.

Zwłoki przyjaciela naszego złożone zostały w grobie polskim gdzie tylko zasłużeni Polacy składani bywają.

Po złożeniu ciała do grobu, jenerał Dembiński w serdecznych przemówił wyrazach — czem nam przypomniał, że bez Ojczyzny, ale nie bez ojców jesteśmy: że łańcuch jednych nieszczęść i nadziei w jedno spaja nas braterstwo, bez którego myśl żadna wykonania, żadna praca pożądanego nie ma skutku. — Szanowny starzec nazwał ś. p. Bogdana przyjacielem swoim i dziękował za współczucie dla zmarłego zebranym. — Obok stał pułkownik Różycki ze łzą na źrenicy.

Miejsce spoczynku przyjaciela naszego krótki oznacza napis: imię, nazwisko, rok urodzenia i dzień śmierci.

Rękopisa jego — pozaczynane powieści — notatki — zapiski... — wszystko z rozkazu jego, przy nim, w obec kilkunastu świadków spalić musiałem. Paliłem a płakałem, że palić je muszę. — Zatrzymałem tylko nominacje na wojskowe stopnie w Badeńskiém otrzymane — i polecenia różne od rządu włoskiego i badeńskiego z r. 1848. — Nadto kilka rysunków niewykończonych, które zostawił do mojego rozporządzenia — a między temi i własny portret przez siebie zrobiony, mnie na pamiątkę ofiarowany. Jest to portret w karykaturze, ale bardzo podobny — zrobiony na miesiąc przed śmiercią.

Ostatnie trzy miesiące mieszkaliśmy razem — i dzieliliśmy się wszystkiém... A nie mogę tu pominąć jenerała Dembińskiego, który widząc położenie nasze, przychodził nam w pomoc o ile możność dozwalała.

W ostatnich notatkach Bogdana znajdują się krótkie słowa błogosławieństwa dla Pani, jako tyle przyjaznéj mu — i za wiadomość o rodzicach jego i familji, oraz przewidywania zbliżającego się kresu jego życia.

Pani oddaję do woli w jaki sposób uwiadomić rodziców i familję o stracie, którą ponieśli..."

Alexander Panosiewicz."

Nieskończenie żałować należy rękopisów, które pan Panosiewicz popalić musiał. Czemuż go nie zaklął w imie Polski że Polsce te notatki przydać się mogą, — a byłby się zgodził zapewne, ażeby ocalały.

Daléj pisał mi Aleksander Panosiewicz:

Paryż 24 lipca 1855

„............Każdy z nas ma pewną wiarę, świętą, nieomylną w zmartwychwstanie Polski — ale któż potrafi bliższe dać określenie?! — Ztąd wyradzają się niesłychane cierpienia — z jednéj strony sumienne przekonanie, z drugiéj niecierpliwość, tęsknota — walka prowadząca do szpitala — do grobu... — Dziś silny, jutro upada dotknięty smutną wiadomością. Wszyscy pracują — a skutków pracy nie dojrzysz. Chodzą jakby w ciemności, a drogi prostéj, czystéj, napotkać nie mogą. Błądzą — błądzą... Niema właściwie kogo i winić, gdyż wszedłszy wewnątrz siebie samego, sądzić drugich niepodobna. Z boleści takiéj najczęściéj wyradza się rozpacz — bo i kiedyż ona w radość przechodzi? —

Tak było i z Bogdanem. Tęsknota, niecierpliwość, często i zwątpienie jego ognistą ogarniało duszę: tlał powoli — aż zgorzał i zasnął na zawsze. — Wiedział i czuł swój koniec na trzy tygodnie pierwéj. Przed opuszczeniem mego mieszkania wyrzekł: „Jeżeli dziesięć, dwanaście dni przeżyję w szpitalu przy bardzo wielkiem staraniu lekarzy, wtedy jeszcze lat parę żyć mogę, ale cztery, pięć, to najwięcéj..."

Na kilka miesięcy przed zgonem wymogłem, że się do mnie sprowadził — i już go z oka nie spuszczałem. Było przez czas pewien zupełnie dobrze. Pisał — rysował — pracował — był wesoły, swobodny, uczynny — i takiéj nadziei dla przyszłości Polski, jakiéj niewielu posiada. Niestety, nie długo to trwało — bo z wiosną rozwinęła się gwałtownie choroba, któréj się bronił całą siłą duszy, właściwą takim charakterom.... Skończył jako prawy Polak, wierny wszystkim prawom chrześcijańskim.

Kochał rodziców i brata całą duszą — i tęsknił za niemi boleśnie. — Załączam Pani kartkę wspomnioną z jego pugilaresu — gdzie własną ręką — na łożu śmiertelném, błogosławi Panią, żeś mu o nich wiadomość

przesłała. Będzie to dla Pani ostatnia pamiątka od zgasłego przyjaciela i dowód jego przyjaźni.

Załączam Pani także małą rycinkę — gdyż między bardzo ograniczoną liczbą i małéj wartości, nic innego łatwiéj przesłać się nie dało.

Do ułatwienia zacnych Pani chęci dla nieboszczyka, przyłączam nekrolog — którego tutaj drukować wahano się dla partyjnych i koteryjnych widoków. Może Pani posłuży do wyciągnięcia zeń niektórych wiadomości o Bogdanie — oddając Pani zupełną wolę co postanowisz z tém zrobić...

Śmierć jego była śmiercią prawdziwego Chrześcijanina-katolika. — Przytomność zachował aż do chwili skonania. Myślą jego ostatnią byli rodzice — brat — dzieci jego — i Polska! któréj przyszłość w promienném błyszczała mu świetle.“

Ciało złożono w grobie polskim — w Montmartre — w miejscu, gdzie niegdyś waleczne zastępy Polaków, najwierniejszych przyjaciół Francji, broniły jéj mężnie przeciwko najeźdzcom! A dziś grzebią tam popioły polskie — jakby na świadectwo, że Polska i grobem sprzymierzyła się z Francją.

Rycinka nadesłana mi przez p. Panosiewicza wyobraża dwoje dzieci: chłopczyka i dziewczątko. Dziewczynka siedzi na ziemi, chłopczyk stoi, a oboje patrzą z tęsknym wyrazem za stadem odlatujących jaskółek w stronę północy — jak gdyby z niemi także pociągnąć pragnęły.

Dokonałam smutnego obowiązku: powiadomiłam rodziców ś. p. Bogdana o śmierci syna — na ręce brata. I podałam dla krewnych i przyjaciół krótką o zgonie jego wiadomość do „Gazety Wielk. Ks. Poznańskiego.“

Do mojego album zrobił mi Bogdan Dziekoński jeszcze w Ustroniu fantastyczny obrazek: Turek siedzi nad księgą mądrości, po której wąż się wije. Po za nim unosi się widmo z wytrzeszczonemi oczami — i widać nogi raka. — Na drugiéj stronie kartki napisał — znać w związku z ryciną.

„W epokach największego zkażenia, kobiéty najwięcéj są lekceważone. Im bardziéj w formie rządu lub bezrządu przemaga niewola, tém one więcéj stają się służebnicami niewolników. W starych, wolnych Niemczech kobiéty były świętemi, i podobnie jak gołębie Jowiszowe Dodońskie, wydawały wyrocznie. W Sparcie, w Anglji i w pięknych średnich wiekach rycerskich, kobiétę otaczało poważanie prawdziwych mężów — bo ci byli wolni i silni.

W epoce siły naszego narodu, kobiéty rzadko występowały naprzod, ale zawsze jak duchy opiekuńcze — niewidzialne, macierzyństwem i miłością prowadziły bohaterów. — Ponieważ jednak kobiéty zawsze z formą rządu podnoszą się i upadają — uszlachetniają lub podlą. Rząd zaś jedynie z mężów powstaje i trwa — przeto jest jawném, że kobiéty dopiéro podług wzoru mężczyzn wykształcają własny charakter i następnych pokoleń. Dopiéro uwodziciele tworzą zwodzicielki — a każde poniżenie kobiét tylko odbiciem podłości mężczyzn być musi. — Wystaw bohaterów, a bohaterki, jako ich narzeczone, wyjdą za nimi w pole. Tylko na odwrót, żadna bohaterka nawet miłością z podłego nie zrobi rycerza.

Jakże więc godną jest pogardy ciasna dusza tych ckliwych, niby znudzonych ludzkością modnisiów, wyrzekających i poniżających kobiéty. Gdy tymczasem te ich skargi na nich samych spadają, a ich zniewieściałość jako świadectwo własnych grzechów, na tém większą wydaje ich pogardę!

Jakżeżby taki wymoczek dzisiejszéj epoki przed wzrokiem Spartanki lub dawnéj Polki rozpłynął się i wysechł! —

Józef Bogdan Dziekoński.“

W Ustroniu dnia 22 lutego 1845 r.

Aleksander Panosiewicz służył w kampanji węgierskiéj pod dowództwem jenerała Dembińskiego; wyszedł z nim do Turcji, gdzie przy jego boku i na wolnéj stopie, jako i na internowaniu w Brussie i Kuthai aż do ostatniéj zostawał chwili.

Pozostał z nim następnie i we Francji — i jemu to podyktował jenerał Pamiętniki swoje. — Nadto oddał mu i Pamiętniki z kampanji węgierskiéj, z dokumentami własnoręcznemi Koszuta, ministrów i jenerałów. — Późniéj przeniósł się Alek. Panosiewicz do Anglji.

Paulina Wilkońska.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Życie H. Savonaroli. Epizod z dziejów Florencji, opowiedziany przez Klemensa Kanteckiego. W Poznaniu i Lwowie. Nakładem F. H. Richtera, 1872.

Pod koniec piętnastego stulecia, jeden powszechny głos brzmiał z ust wszystkich ludzi poczciwych i jedno wołanie, zamykające się w krótkiém ale pełném następstw słowie, które się pisze: „reforma.“ — Czuł to lud, czuło duchowieństwo niższe i wyższe, czuli papieże sami, że koniecznie potrzebna jest reforma obyczajów, ale jakby się wziąść do niéj nikt nie wiedział. Usiłowaniom pojedynczych ludzi, jak papieży Marcina V, Eugenjusza IV i Mikołaja V, kardynała M. Kuzy i innych, zbywało na dostatecznéj sile i energji, a usiłowania zbiorowe, jak synodu Bazylejskiego (1431) rozbijały się o brak roztropnego umiarkowania. — Bezustannie więc trwało wołanie o reformę, a co poczciwsi marzyli o tém, jakby zaradzić złemu, które rozpleniło się szeroko w Kościele.

Jednym z takich mężów, który gorącą chęcią zaradzenia złemu powodowany, zreformować obyczaje kościoła sobie przedsięwziął, był brat św. Dominika, a późniéj przeor tegoż klasztoru we Florencji: O. Hieronim Savonarola.

Suknia kapłańska dawała mu prawo nauczania ludu, a cnota upoważniała do występowania śmiałego i do karcenia bez ogródek ówczesnego zepsucia obyczajów.

Ognista wymowa, przy prawdziwie południowéj wyobraźni i apokaliptyczny sposób obrazowania, sprawiły, że lud dał się porwać — niestety — tylko chwilowo — i Florencja zmieniła postać swoją.

Ale — jak to zwykle bywa, zapał ludu ostygł rychło bardzo, gdy nowość bawić przestała, — a możni obrażani tylekroć do głębi przez zagorzałego reformatora, mogli go już teraz bez trudności się pozbyć.

I wreszcie ten sam lud florencki, który gorące łzy ronił na kazaniach ukochanego Ojca, klaskał z radości, patrząc na rozpięte wpośród płomiennego stosu ciało Savonaroli.

Taki jest zwykły koniec piosenki, którą potoczystym stylem, poprawną polszczyzną i wprawném piórem opowiedział p. Kl. Kantecki.

Młody — jak się z gorącego sposobu pisania okazuje — autor, nie szczędził pracy i trudu, aby piękną w rzeczy saméj postać Savonaroli -- piękną swoją powieścią, jeszcze piękniejszą uczynić.

W lekkich ale zgrabnych pociągach pióra daje obraz ówczesnego upadku obyczajów we Włoszech, i na tém tle powszechnego zepsucia i upadku wiary rysuje postać białą dominikańskiego mnicha.

Nie będziemy iść krok w krok za autorem, tém więcéj, że jak sobie śmiało tuszyć możem, pracę jego każdy z przyjemnością i zadowolnieniem przeczyta, kto ją tylko do ręki dostanie. Dla tego téż zwrócim tylko uwagę czytelników naszych na kilka piękniejszych miejsc.

Młodość Savonaroli i życie jego jest opowiedziane starannie i czyta się z wielkiém zajęciem; jego występy pierwsze w ogrodzie pod krzakiem róż, obrazuje autor malowniczo; nadmienimy tu tylko, że ogród o którym mówi: był to — krużgankiem otoczony — dziedziniec klasztorny, ozdobiony w pośrodku piramidą a w którego czterech rogach znajdują się dotąd klomby róż. Pod jednym z tych krzaków stawał Savonarola, każąc do szczupłego jeszcze wówczas grona słuchaczy.

Jego publiczne a mianowicie polityczne działanie opisuje autor z zapałem uwielbienia, namby się atoli przytém zdało potrzebném zapytanie, czy autor rzeczywiście bezwzględnie wszystko pochwala, co Savonarola zamierzał w życie wprowadzić? Są bowiem idee piękne, dla których, jak to słusznie pisze Lenartowicz, w liście do autora, umieszczonym pod koniec niniejszéj pracy, dla których czas wcielenia w czyn i życie jeszcze nie nadszedł. Ztąd też całe dzieło reformy Savonaroli, acz poczętéj w duchu czystéj miłości bliźniego, stało na tak chwiejnych podstawach, że runęło z nim razem.

Nie o to nam tu atoli głównie chodzi, bo można by to jako zaletę poczytać autorowi, że sąd swój własny ukrywając, czytelnikom swoim go pozostawia; — ale to zaczepić musimy, że idealizując Savonarolę bezwzględnie — jak to zresztą w nowszych czasach w poetycznych uniesieniach już inni uczynili (n. p. Rudelbach, Hier. Savonarola und seine Zeit. Hamb. 1835, B. Meier: H. Savon. aus gross. Theils handschr. Quellen. Berlin 1836) żadnéj w nim nie widzi winy i całą zwala na jego nieprzyjaciół i papieża Alexandra VI.

Należy nam jasno postawić kwestję zasadniczą: albo Savonarola był istotnie powołanym do spełnienia wielkiego czynu, a wtedy wina całkiém leży po stronie jego przeciwników — albo też przypisał sobie tylko wyższe posłannictwo nieprawnie i wtedy część winy spada i na niego także. — Co do nas odpowiadamy, że Savonarola mógł być natchnionym ale to powołanie jego kończyło się tam, gdzie się zaczynało to, co autor sam nazywa drogą nielegalną: „Przekonał się wreszcie bogobojny przeor, powiada autor (str. 82) że na drodze legalnéj niczego nie dokaże“ — a więc „bogobojnemu przeorowi“, który — koniec końcem — był mnichem i przysiągł na ślub pokory i zupełnego poddania się zwierzchności duchowéj, niebezpiecznie było w owych czasach wzywać ramienia świeckiego przeciw papieżowi.

Dalecy od tego, aby spalenie jego wraz z dwoma towarzyszami jakokolwiek tłomaczyć i winę Florentczyków umniejszać — na to jedynie chcieliśmy zwrócić uwagę autorowi, że każdy medal ma odwrotną stronę.

Z tém wszystkiém, praca autora zasługuje ze wszechmiar na uznanie i godną jest polecenia czytającéj publiczności, mianowicie jako szczęśliwa próba opowiadania dziejów powszechnych, tém więcéj, że u nas właśnie to pole leży prawie zupełnie odłogiem.

Szczęśliwy ton i sposób beletrystyczny w jaki autor rzecz przedstawił zyska niewątpliwie pracy jego obszerne czytelników koło.

†

Wiadomości bieżące o rzeczach polskich.

— W osobnéj odbitce z „Kraju“ wyszła prelekcja p. **Adama Bełcikowskiego** p. n. „Gustaw i Werter“, miana dnia 11go grudnia na korzyść Krakowskiego Tow. Wzajemnéj Pomocy akademików.

* * *

— **Bogumił Dawison**, jeden z najznakomitszych tragików naszych czasów umarł w pierwszych dniach b. m. w Dreznie. Aktor lubelskiéj, następnie warszawskiéj, wileńskiéj wreszcie lwowskiéj sceny, zwiedziwszy z pomocą hr. Skarbka najpierwsze europejskie teatra, po czteroletniéj téj artystycznéj wędrówce europejskiéj też zapragnąwszy sławy rzucił stanowczo polską scenę i odtąd występował stale na deskach niemieckich teatrów. Krótko przed wyjazdem do Ameryki, po którym z powodu utraty głosu musiał zaprzestać występów, odwiedził Warszawę i przypomniał się warszawskiéj publiczności.

* * *

— **Gramatykę polską**, drukowaną w Krakowie u Wietora w r. 1530, znalazł prof. Łepkowski w bibljotece Sieniawskiéj. Nie miała podobno tytułu, dla tego nie przywiązywano do niéj wartości. Ma tam być w owéj książce paręset przysłów (dawniejszych naturalnie od Rysińskiego, który swoje w r. 1629 ogłosił), oraz wiele rozmów jako wzory konwersacji dla Niemców, chcących się nauczyć po polsku. Rozmowy te są ważnym materjałem do historji obyczajów u nas. Być może, że znaleziona przez p. Łepkowskiego gramatyka jest pierwsza albo jedna z pierwszych edycji wokabularzów, których wiele wychodziło w Królewcu, jak n. p. ów u Jerzego Osterbergera w roku 1595 wydany.

* * *

— **Dr. Henryk Gottlieb**, adwokat i radny miasta Lwowa, za historyczną pracę swoją o średniowieczném dotychczas mało przez historyków badaném, w IX i X stuleciu kwitnącém słowiańsko-żydowskiém państwie Chazarów, otrzymał od słynnego niemieckiego Towarzystwa orjentalistów (Deutsche morgenländische Gesellschaft) w Lipsku, dyplom jako członek honorowy tegoż Towarzystwa.

* * *

— **Władysław Sabowski** przełożył na język polski powiastkę węgierską Maurycego Jókai, o którym wspominaliśmy w Pokłosiu Nr. 46 naszego Tygodnika, p. n. „Walka z Bogiem.“

* * *

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, że autor Pieśni Janusza, **Wincenty Pol**, odwiedzi nas w końcu tego miesiąca. Zapisując tę przyjemną wiadomość, miło nam dodać, że wkrótce rozpoczniemy druk pracy naszego wieszcza: „O usiłowaniach artystycznych w nowszych czasach.“

* * *

— Komedja **Wł. Koziebrodzkiego** p. n. „W jesieni“, wydana w osobnéj odbitce z „Kraju“, polecona została przez komisję doradczą teatru krakowskiego.

* * *

Dr. T. Żebrawski uporządkował już w znacznéj części archiwum miejskie krakowskie. Nowy to

przyczynek do zasług tego uczonego sfragistyka, numizmatyka, starożytnika i biegłego paleografa. Z pociechą wyznać przychodzi, że uczeni nasi uznają prace p. Żebrawskiego, gdyż głos powszechny wymienia go jako jedynego, uzdolnionego kandydata na posadę konserwatora zbiorów, bibljotekarza, archiwistę przyszłéj Akademji umiejętności. Dr. Żebrawski zamierza obecnie rozpocząć druk bibljografji matematyki, miernictwa i budownictwa, pracy, któréj lat trzydzieści poświęcił.

* * *

— **„Kurjer teatralny lwowski“** przestał już wychodzić, jak donosi „Kraj“ w Nr. 24.

* * *

— Nowo powstałemu we Lwowie pismu **„Świt“** życzymy jak najlepszego powodzenia.

* * *

— **Jan Zacharyasiewicz** bawiąc obecnie w Krakowie, miał odczyt w sali muzeum technicznego „O idealizmie i realizmie w literaturze.“

* * *

— W piątek 2go b. m. miał miejsce w sali Bazaru odczyt publiczny p. **Franciszka Dobrowolskiego** na korzyść stowarzyszenia Św. Wincentego à Paulo. Prelegent wziął sobie za przedmiot działalność Ignacego Potockiego w sprawie narodowéj oświaty i około politycznego odrodzenia chylącego się do upadku narodu. Znany i wielostronnie obrobiony przedmiot nabrał w świetnym wykładzie wymownego prelegenta nowego znaczenia i zainteresował silnie licznych słuchaczy, którzy słuchając z natężoną uwagą przeszło godzinę, wynagrodzili mówcę rzęsistemi oklaskami.

Przedpłaciciele

na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

232.	Wny D. E. Friedlein w Krakowie	3 egz.
235.	Wny J. A. Pelar w Rzeszowie	4 „
239.	Wna Jasińska z Witakowic pod Kłeckiem	1 „

Skrzynka do listów.

Autorów, których prace zalegają w tece Redakcji, i wszystkich naszych łaskawych współpracowników prosimy, aby porozumiewali się z Dr. Olendzkim pod adresem Redakcji Tygodnika.

Dr. Łukaszewskiemu w Jassach: Pisma Jego żadną miarą zamieścić nie możemy, Tygodnik nasz bowiem stroni zasadniczo od polemik osobistych. Sądzimy, że sprawa ta wyczerpniętą została w Dzienniku Polskim.

P. Celestynowi Zorza w Niepołomicach: Nadesłanych wierszy drukować nie będziemy. Mniéj lub więcéj składne rymy nie są jeszcze poezją, próbuj Pan jednak sił ale na podstawie podnioślejszych myśli i wyrzecz się ckliwych westchnień do swoich bachantek.

Korespondentowi X. X. w miejscu: Prosimy o wiadomy artykuł do przejrzenia, poczém powiemy czy możemy zrobić użytek. Bezimienności żadna Redakcja nie zdradza, lecz nazwisko autora zamieszczonego artykułu musi jéj być wiadome.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.